



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



### GWIAZDA WIECZORNA.

skreślił

Stanisław Kramsztyk.

Od kilku już miesięcy błyszczy na niebie gwiazda, która wspaniałością swą wszystkich uderza. Ledwie słońce skryje się pod poziom, gdy w blasku wieczornym żadna nie polyska jeszcze inna gwiazda, ta jedna już występuje wyraźnie w tej stronie, gdzie słońce zaszło, w zachodniej okolicy nieba. Nie widzieliśmy jej poprzednio, nie świeciła nam podczas ubiegłej zimy — czyż więc zjawiała się niespodzianie, jako gość nieoczekiwany? Zkąd przybyła? Dla czego nie świeci nam stale?

Takie niewątpliwie nasuwają się młodym czytelnikom naszym pytania, a ciekawości tej nikt im nie zgani. Objawy przyrody budzą nasze zajęcie i nęcą uwagę; pragniemy je rozumieć, zastanawiamy się nad niemi. Z takiej obserwacji i z rozważań takich wypłynęła cała wiedza nasza.

Gwiazda, która was dziś tak żywo zajmuje, nie jest bynajmniej rzadkiem i niespodzianym gościem. Znana ona już była dobrze w dawnych, zamierzchłych, przedhistorycznych czasach, gdy z trzodami swemi człowiek koczownicze jeszcze wiódł życie. W ustawicznych tych wędrówkach gwiazdy były dlań wtedy jedynymi drogowskazami, musiał je zatem bacznie obserwować. I często też zjawiała mu się też sama gwiazda wieczorna, zawsze w tej samej, zachodniej okolicy nieba, świecąc mu już to dłużej, już krócej po zachodzie słońca. W innych znów czasach, zjawiała się również jasna gwiazda w godzinach rannych, na wschodniej stronie nieba, jakby zwiastun słońca, którego ognista tarcza wkrótce po niej wznosiła się nad poziom, oblewając niebo potokiem światła. Długo też sądzono, że obie te gwiazdy, gwiazda wieczorna i gwiazda zaranna, są to zgoła różne i odrębne bryły niebieskie; skoro jednak poznano, że gdy jedna z nich niknie i ginie, druga wkrótce się potem wynurza, zrozumiano, że są one jedną i tą samą gwiazdą, która w równych czasach świeci, w różnych porach doby. Piękną tę gwiazdę poświęcili Grecy Wenerze, która była dla nich boginią wdzięku i piękności, i my też dołączyliśmy ją nazywamy.

Jakżeż się więc to dzieje, że z porannej staje się Wenus gwiazdą wieczorną i znów z wieczornej poranną? W jaki sposób ze wschodniej strony nieba przerzuca się na zachodnią i z zachodniej znów na wschodnią. Otóż, pochodzi to stąd poprostu, że jest ona, podobnie jak ziemia nasza, planetą — jak ziemia zatem dokoła słońca krąży, ale w mniejszej, aniżeli my, od niego odległości; gdy bowiem ziemia na dokonanie pełnej swej dokoła słońca drogi łoży dni 365, Wenus obiega swe koło już w ciągu 225 dni, niespełna ośmiu zatem miesięcy. Jak więc dwaj chłopcy, którzy w kółko z różną szybkością biegną i ustawicznie miejsce swe względem siebie zmieniają, już to bowiem jeden, już drugi wysuwa się naprzód, tak też my pa-



trząc z ziemi na Wenerę, już to po jednej, już po drugiej mamy ją stronie.

Przy zobopólnym tym biegu ziemi i Wenusy zdarzać się musi od czasu do czasu, że Wenus przypada właśnie pomiędzy ziemią a słońcem, jakby na linii idącej od ziemi do słońca. Gdy więc ziemią, przy dziennym swym obrocie dokoła swej osi zwraca się ku słońcu, zwraca się i ku Wenerze, a gdy się od słońca odwraca, odwraca się też i od Wenusy; znaczy to innymi słowy, że Wenus wschodzi i zachodzi razem ze słońcem, jest więc na niebie naszym za dnia i jest niewidzialną, gwiazdy bowiem gasną w blasku słonecznym. Toż samo powtórzy się jeszcze, gdy Wenus w dalszym swym biegu znajdzie się względem nas po drugiej stronie słońca—bo i wtedy, zwracając się ku słońcu, zwracamy się zarazem ku Wenerze. W obu tych razach mówimy, że Wenus jest w połączeniu ze słońcem—w pierwszym razie, gdy jest między ziemią a słońcem, w połączeniu dolnym; w drugim zaś, gdy przypada po za słońcem, w połączeniu górnym.

Ale w połączeniu jednym lub drugim nie ciągle przecież bawi, a gdy się po drodze swej przesuwa, znajduje się naprzemian jużto po zachodniej, już po wschodniej stronie względem słońca. To ostatnie położenie obecnie właśnie zajmuje, przypada na wschód względem słońca, zachodzi więc później aniżeli słońce i ukazuje się nam wieczorem; ale skoro zachodzi później niż słońce, później też wschodzi, za dnia już zatem, i w godzinach rannych jest niewidzialną. Gdy natomiast przypada po zachodniej stronie słońca, wschodzi od niego wcześniej, przed brzaskiem dziennym, i ukazuje się jako gwiazda poranna; ale też wtedy i wcześniej zachodzi, za dnia jeszcze, gwiazdy więc wieczornej wtedy nie widzimy.

Teraz jest Wenus daleko na wschód względem słońca wysunięta i zachodzi dopiero we cztery po niej godziny. W początkach lipca znajdzie się w połączeniu dolnym i zachodzić będzie współcześnie ze słońcem. Oczywiście zatem w miarę jak do tego połączenia zbliżać się będzie, zachodzić będzie coraz rychlej po słońcu i świecić nam będzie przez czas coraz krótszy—przez trzy, przez dwie godziny, przez godzinę tylko i krócej jeszcze; coraz ją trudniej będzie można dojrzeć w blasku dziennym, w promieniach słonecznych, aż wreszcie zatoni w nich zupełnie i nie będzie widzialną, co jak powiedzieliśmy, nastąpi w początkach lipca dopiero. W dalszym swym biegu przesuwa się na zachód względem słońca, wynurzy się z promieni słonecznych i ukaże się nam jako gwiazda poranna. Kto więc zechce w sierpniu zerwać się ze snu bardzo wcześnie, jeszcze przed brzaskiem dziennym, dostrzeże dzisiajszą gwiazdę wieczorną wybiegającą nad poziom na wschodniej stronie nieba przed wschodem słońca, którego złota tarcza wysunie się po niej dopiero w godzinę w początkach, a we trzy godziny w końcu tego miesiąca, i już do końca roku pozostanie Wenus gwiazdą poranną.

(d. n.)

## MAŁY KRÓLEWICZ,

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW WĘGIERSKICH.

przez Teresę Jadwigę.

### I.

— Królowa jedzie! — leci zewsząd, bije pod obłoki, brzmi na ulicach Budy.

— Królowa jedzie! — powtarzają ściany kamienne.

— Królowa jedzie! — wybiega za mury Budy, a echo chwyta te słowa i niesie je łąkom, polom, lasom przyległym stolicy Węgier i lud się zbiega zewsząd, kupi, gromadzi: knieć rzuca pług i spieszy pod mury starego grodu, rzemieślnik warsztat zamyka, kupiec sklep swój, wszyscy świętują... Na ulicach miasta, na drogach do niego wiodących coraz rojniej, w oknach głów ciekawych pełno.

— Królowa jedzie! królowa jedzie! — każdy woła i powtarza.

A zdala na szerokim gościńcu, do stolicy Węgier prowadzącym, widać orszak wspaniały. Lud się już skupił, utworzył szpaler długi, ruchomy, gwarzy, każdy wspina się na palce, wzrokiem wdął wybiega i czeka rychło li orszak ów ku niemu się zbliży, wtedy on okrzykiem powitania o niebosia uderzy. Na przodzie orszaku idą muzycanci w szkarłatne suknie przyodziani, z fletami i trąbami, po obu stronach orszaku biegną błazny pstrokato ubrani, przystrojeni srebrnymi dzwonekami; dźwięczą flety i trąby, a dzwonki brzęczą i cały ten hałas miesza się z poważnym szumem Dunaju, nad którego brzegami rozsiadła się Buda.

Za muzykantami widać na białym koniu rzadkiej urody niewiastę, obok urody taka dobroć bije z jej lica, iż każdy, kto na nią spojrzy, mówi sobie, iż anielska dusza mieszka w tym ciele... Płaszcz królewski splywa z jej ramion, biała suknia lśni od pereł i drogich kamieni... to królowa Węgier, Izabella. Obok niej, z dumą i miłością patrząc na nią, jedzie poważny jej małżonek Jan Zapolja, za nimi grono pań, bo dziś pierwszeństwo ma dwór królowej, dziś święto Izabelli: poraz pierwszy wjeżdża ona do Budy, dziś Węgrzy mają jej czoło koroną ozdobić.

Wśród grona kobiet, jadących za królową, jedna z nich zwraca uwagę wszystkich; gdy wzrok tłumu oderwie się od królowej, to na niej zatrzyma się z pewnością i potem już nic więcej nie widzi. Jasnowłose dziewczę równie anielską ma twarzyczkę jak Izabella, a młode to jeszcze widocznie, bo wciąż chlichoce, czasami się skłania ku grzywie konia, tak śmieje się serdecznie, patrząc na błaznów co biegną koło orszaku, figle płatają, lub wykrzywiają się śmiesznie. Obok dziewczęcia ponura jak noc, pośpnie od niej odbija poważniejsza znacznie wiekiem kobieta o ciemnych włosach, czarnych, pełnych smutku oczach: ta strój węgierski ma na sobie; inne wszystkie do siebie podobne, nie brzydkie, nie bardzo urodziwe, jedne jasno, drugie ciemnowłose. Za damami dworu jadą panowie: jedni w bekieszach węgierskich, ci i tamci świecą klejnotami, szablami brzęczą; tych i tamtych konie rosłe, piękne, strojne w bogate czapraki.

Orszak zbliżył się ku murom stolicy.

— Niech żyje Izabella! — leci ku obłokom.

Tłum powiał czapkami i chustami.

— Niech żyje Izabella! — krzyczy radośnie.

Bo wieści, co wyprzedziły przyjazd młodej królowej, powiedziały im, że Izabella jest litościwą, hojną i dobrą, a takiej pani Węgrom potrzeba, bo i u nich wiele niedoli. Dziś w dniu tak uroczystym każdy się przybrał świętecznie, otarł łzy i o niedoli zapomniął, każdy przystroił twarz uśmiechem, skargi stłumił w duszy, lecz gdy uroczystość przeminie, przypomną się bóle i troski... Oby w istocie młoda królowa miała serce litościwe, oby nadzieje ich nie zawiodła!

Gdy orszak wjechał w ulice miasta, z okien kamienic popywały się kwiaty, leciały jak deszcz rzęsisty na królowę i jej orszak, aż zasłasy miętko twardą ziemię, aż ścichły echa kopyt końskich; królowa uśmiechem dziękowała. Węgrom za te oznaki przychylności, a jasnowłose dziewczę, jadące za nią, chwytało kwiaty białą dłonią i stroiło niemi złote swe warkocze. Wjechali wreszcie w ulicę, na której wznosiła się katedra, zatrzymali się przed świątynią, posiadali z koni i weszli w mury kościoła; okrzyki ucichły teraz, zamilkły trąby i flety, ozwały się poważne głosy dzwonów, organy im zawtorowały, król podał ramię żonie i poprowadził ją przed wielki ołtarz, gdzie czekał na nią biskup; Izabella uklękła, a kapłan włożył jej na czoło koronę i krzyż błogosławieństwa nad nią nakreślił.



— Bądź aniołem ludu twego — rzekł jej głosem drżą-  
cym — niechaj przybycie twoje wleje pokój w jego serce, ra-  
ny jego zagoi, lzy osuszy, bądź matką twych poddanych.

— Tak mi Boże dopomóż — szepnęła Izabella i wzrok  
podniosła na ołtarz.

— Amen — dorzucił biskup.

Potem wszyscy cichą modlitwą posłali do Pana wszech-  
rzeczy, by błogosławił ich młodej królowej, a wtórował im  
uroczysty głos organów.

Gdy wyszli ze świątyni i koni dosiedli, by na zamek  
podażyć, lud znowu krzyczał:

— Niech żyje Izabella!

Podskarbi na rozkaz króla rzucił tłumom garściami  
złoto, lud chwytając je chciwie i głośniejsze wołał.

— Niech żyje Izabella!

Z katedry wprost udali się do zamku; warowny on, bro-  
nią go mury i baszty; król Jan z radością w oczach wprowa-  
dził piękną i młodą żonę do swego domu: przepych jego  
olśnił Izabellę: taką moc złota, srebra i kosztowności tutaj  
ujrzała, jak nigdy jeszcze. Uczta, do jakiej zasiedli także  
wspaniała była, nie jadła ona jeszcze takich przysmaków, nic  
tutaj bowiem nie zdradzało nędzy ludu, a jednak jeszcze  
w domu słyszała Izabella, że liczne wojny które Węgry wiodły  
przez lat kilka, zubożyły kraj, że lud cierpi niedostatek,  
to też ze zdziwieniem oglądała się w około i przypatrywała  
wszystkiemu.

Po uczcie poprowadził, król żonę do ogrodu, który za-  
mek otaczał; tu nowy przepych i zbytki uderzyły jej oczy:  
z pomiędzy klombów kwiatów były w górę wodotryski, sztucz-  
ne ognie wyrzucały pod obłoki gwiazdy świecące, a te odbijały  
się w wodach Dunaju płynącego wspaniale u stóp ogrodu;  
gdzie wzrok zwróciła wszędzie błyszczało jej imię, ognistemi  
głoskami wypisane.

— Mówił mi ojciec królu; gdy mię żegnał i błogosła-  
wił — rzekła Izabella wzrok pytający na męża podniosłszy —  
„Jedziesz córko do państwa, gdzie smutnych i łaknących wie-  
le, daję ci przeto złota i klejnotów wiele, byś miała czem  
lzy osuszać płaczącym, głodnych nakarmić, pocieszyć smut-  
nych — lecz sądzę, że ojca mego mylnie powiadomili, w twym  
państwie chyba niema niedoli?”

Jan Zapolja zachmurzył czoło na chwilę.

— Dziś święto, Izabello — odparł — dziś wszyscy u mnie  
świętują, dziś chciałem byś tylko wesele u mnie widziała, ju-  
tro sama zobaczysz czego Węgom brakuje.

— O czemu nie wiedziałam o twych zamiarach, była-  
bym cię prosiła byś w inny sposób uczył mój przyjazd —  
a powiedziawszy to Izabella westchnęła. — Gdybyś był królu  
10zdał między biednych, to złoto które wydałeś na ten prze-  
pych, ile wdzięcznych serc witało by mnie dzisiaj — dodała  
ciszej.

— Zapomnij na dziś Izabello, że są u mnie biedni  
i smutni, jam czynił, co mógł, by ci dzień dzisiejszy uprzyje-  
mnić.

To mówiąc poprowadził żonę na szeroką przestrzeń po-  
za ogrodem, gdzie urządzono estradę, bo na cześć królowej  
miały tu się odbyć zabawy rycerskie. Dwór cały już czekał,  
muzyka umieszczona na dole, grała wojenną pobudkę, na  
placu widać było dwóch rycerzy z kopiami w ręku czekają-  
cych na hasło, by rozpocząć walkę. Na estradzie siedziały da-  
my i starsi panowie, w pośrodku stały dwa próżne krzesła  
szkarłatnem suknem obite, u wnijscia stała młodzież skupio-  
na. Jan Zapolja powiódł żonę do owych próżnych krzesel,  
siedli oboje by przypatrzeć się, jak przy świetle sztucznych  
ogni rycerze owi próbować będą swej odwagi i zręczności.  
Rozpoczęli się utarczki, potem gonitwy, Izabella nagradzała  
zwycięzców wieńcami z liści dębowych, związanych kosztowne-  
mi przepaskami, widzowie nagradzali ich oklaskami, najgło-  
śniejsze przecieź otrzymywali od młodego jasnowłosego dzie-  
wczęcia. Zbliżyła się nareszcie północ, przerwano zabawę,  
goście poczuli się rozjeżdżać, nareszcie cisza zaległa zamek.  
Izabella zwięczona dniem pełnym wrażeń, udała się na spo-  
czynek, kilka kobiet odprowadziło ją do jej pokojów, a mię-

dzy nimi jasnowłose dziewczę i owa smutna węgierka, która  
przy wjeździe do Budy obok tamtej w orszaku jechała.

— Cóż Halo! podobala ci się ziemia węgierska?

— Blask, który bije od tronu twego, Pani, dość jasny,  
by jej tu smutno nie było, a gwar i śmiechy co go otaczają,  
nudzić się jej nie pozwolą — odezwała się piękna węgierka  
głosem, w którym goręcz brzmiała; była to Anna Kolar, da-  
ma dworu, wybrana przez Jana Zapolję.

Hala zwróciła na nią wzrok, w którym gniew błyszczał.

— Przy tronie, czy przy trumnie, w zanku, czy w cha-  
cie nędznej wszystko mi jedno, byle z Izabellą — odparła. —  
Nie dlatego tu przybyłam, że pani moja królową została; lecz  
dlatego, że ją kocham, jak siostrę, że mi bez niej jest źle,  
smutno wszędzie.

— Nie unos się tak łącno Halo, wiem dobrze, że córka  
rycerza który zginął wiernym ojcu memu, kocha mię jak sio-  
strę — odezwała się łagodnie Izabella — wiem, że nie blask  
tronu cię znecił do Budy; wspólne igraszki dziecinne, wspólne  
marzenia młodzieńcze, to węzły silniejsze od wielu innych.  
Nie unos się Halo, bo w umiesieniu wymawiamy czasami sło-  
wa za silne, których po niewczasie żałujemy.

Złotowłose dziewczę już ochłonęło, pochyliło się do ręki  
królowej z pocałunkiem.

— Przebacz pani chwilowe zapomnienie — rzekła —  
gdy ty mi wierzysz o sąd innych nie dbam.

— A teraz idźcie spocząć wszystkie — rzekła Izabella  
— lecz jutro o świcie przyjdź do mnie Halo, czekać cię będę.

To powiedziawszy podała z kolei wszystkim rękę do  
ucalowania i skinieniem pożegnała.

(d. c. n.)

## BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. JUMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Takiego samego sondowania dokonano i w bloku, który  
leżał u wejścia do galeryi; ten jednak okazał się znacznie  
grubszym; zresztą usunięcie go groziło niebezpieczeństwem,  
gdyż sklepienie tunelu lodowego z łatwością mogło się raz  
jeszcze zawalić na głowę pracującego.

Tak więc po długiej pracy nasi bohaterowie przyszedli do  
nieuniknionego wniosku, iż pieczara lodowa miała stać się  
ich grobem.

— Umrzeć, tuż u celu — czy to nie igraszka losu? —  
rzekł Ford, pocierając ręką rozpalone czoło; — wszystkiego  
raczej spodziewałem się, aniżeli podobnego końca.

Dzielny marynarz uczuwał, iż wobec tego faktu ener-  
gja jego słabnie; całą potęgą woli wstrzymywał się od ude-  
rzenia w tę lodową ścianę pięścią i głową.

— O trzydzieści kilometrów... trzydzieści! — powta-  
rzał. Dżems doznawał zupełnie tego samego uczucia, co  
kapitan; nadto miał on siebie za sprawcę całego nieszczęścia.  
Gromski obawiał się, żeby stary żeglarz nie targnął się  
w przystępie rozpacz na własne życie; siedział bowiem, jak  
posąg, z oczyma utkwionemi w złamane wahadło; po jego,  
zornej wichrami twarzy przebiegały nerwowe drgania; my-  
ślałby kto, że ten człowiek lada chwila wybuchnie strasz-  
nym jękiem i płaczem. Lecz nie: uczucia nie objawiały  
się nigdy w podobny sposób w tej zahartowanej niebezpie-  
czeństwami duszy...

Gromski był gotów na śmierć; przestraszało go tylko ko-  
nanie z zimna i głodu; mały zapas żywności, jaki posiadali na-  
si żeglarze, mógł przedłużyć tylko ich męczarnie.

— Umrzemy, walcząc w imię nauki! — rzekł inżynier,  
ściskając rękę kapitana; — nie powinniśmy dlatego rozpa-  
czać; zrobiliśmy, co było można; teraz na innych kolej.



Ford skinął potwierdzająco głową; te słowa od razu przywróciły mu równowagę ducha; usiadł obok towarzyszy i wydobyszy swój dziennik, począł przewracać w nim kartki.

— To wszystko co po nas zostanie— rzekł;—postaramy się zabezpieczyć zeszyt od działania wody; może za jakie kilka, kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt lat ta góra przeklęta rozleci się, lub popłynie z prądem, a opis naszej podróży znajdą ludzie, poświęcający się tak jak my dla nauki; i niech się stąd

jak prawdziwy stoik, owinał się w swoją futrzaną kurtkę i, wynalazłszy sobie wygodne miejsce, położył się na lodzie, czekając z determinacją przewidywanego rozwiązania dramatu, w którym brał udział.

James również popadł w zupełną apatyę. Inżynier wzięwszy pręt od wahadła, precyzyjnie się w sam koniec szczeliny, gdzie niedawno pracował sternik i, rozciągnąwszy się tam, począł rozmyślać nad sposobem ocalenia. Do głowy przycho-



From Harper's Magazine.

Copyright, 1888, by Harper & Brothers.

### RYBACZKI.

Ej! morze, szumiące, wzburzone,  
Rybaków ty żywisz i dzieci!  
Na tonie gdy rzucim zielone  
Więcierze, niewody i sieci,  
Wnet wszelka w nie łowi się ryba;  
Na sprzedaż ją niesiem do miasta.  
— Życ trzeba! Bóg jeden wie chyba

Co cierpi rybacka niewiasta,  
Gdy łódką, ach! wątłą i małą  
W dal fala unosi zdradziecka  
Jej męża, opiekę jej całą  
Po chleba kawałek dla dziecka...  
Drży serce... Lecz o swej czeladzi,  
Wiadomo, od wieków Bóg radzi...  
T. P.

1  
2  
3  
4  
5  
6  
7  
8  
9  
10

dowiedzą, czegośmy dokonali; to będzie nasz nagrobek, towarzysze.

Roztrząsając najtrzeźwiej nawet położenie inżyniera Gromskiego i jego towarzyszy, każdy doszedłby do wniosku, że w tem miejscu powinna się kończyć historia podróży tych dzielnych bojowników w imię nauki... Kilkometrowa bryła lodu stanowiła bowiem dla nich niemniej trudną do pokonania zapórę, co i granitowa skała tej samej grubości... A jednak, wbrew wszelkim przewidywaniom stało się inaczej. Jeden maleńki, nic nieznaczący napozór fakt fizyczny, zaobserwowany przez inżyniera, przyczynił się zupełnie niespodziewanie do oswobodzenia naszych żeglarzy od strasznej śmierci z zimna i głodu.

dzili mu najzuchwalsze, najdziwaczniejsze pomysły... Niestety, były one tylko niewykonalnymi marzeniami, rozkołysanego i rozgorączkowanego rozpacz, mózgu.

W takim okropnem oczekiwaniu upłynęły dwie doby, podczas których położenie naszych żeglarzy nie zmieniło się w niczem.

Gromski, leżąc w szczelinie, przemarzał niebawem do kości; brała go kilka razy chęć wstać i rozgrzać się ruchem, lecz powstrzymywał się od tego.

— Czyż nie lepiej umrzeć z zimna, aniżeli konać długo z głodu?—myślał.

Powodowany ciekawością, z której nie potrafiłby zdać sobie sprawy, Gromski wyjął z kieszeni termometr... Rtęć wskazywała półtora stopnia niżej zera.

Zabezpieczywszy swój dziennik od działania wody, Ford,





### NIEMIŁY ZAWÓD.

Dokonawszy tej obserwacji, inżynier począł rozmyślać nad tem, dla czego w galeryi panowała tak niska temperatura. Zjawisko bardzo proste. Promienie słoneczne, działając na powierzchnię lodowca, topiły go z wolna: proces ten absorbował ciepło, musiało więc nastąpić oziębienie się całej masy. Kilkanaście kropli wody, rozlanej podczas sondowania prętem, zamarzło na kurtce inżyniera. Ktośkolwiek inny nie zwróciłby na tę drobną okoliczność żadnej uwagi;

Gromski jednak począł się zastanawiać nad jej doniosłością..

— Woda przechodząc w stan stały, zmienia swą objętość—rozszerza się.. lód bowiem posiada mniejszy ciężar gątkowy. Ta przemiana fizyczna odbywa się w jednej chwili za najłżejszem wstrząśnieniem oziębionego poniżej zera pływ. Zjawisko to, odbywając się w zamkniętem naczyniu, wywołuje ciśnienie na jego ściany; w górach woda marznąc w szczelinach skał, rozsadza je przecie... Dla czegożby więc...



Ostateczny wywód tego rozumowania przebiegł, jak potężna iskra elektryczna przez głowę Gromskiego, wstrząsając wszystkimi jego nerwami.

— Jeszcze nie wszystko skończone!  
Zerwał się gorączkowym ruchem i pochwyciwszy pręt, poczołgał się na czworakach do miejsca, gdzie dwa dni temu dokonał sondowania ściany lodowej.

Wytopiony prętem otwór napełniony był jeszcze wodą; Gromski, drżącą ze wzruszenia ręką, podniósł okruch i wrzucił go do dziury... Równocześnie rozległ się głuchy trzask pękającego lodu; potężna siła, rozpierając krystaliczną masę, zarysowała w niej promienisto kilka kapryśnie połamanych, wijących się szpar, które kończyły się gdzieś w łonie góry...

Ujrzawszy je inżynier wydał okrzyk tryumfu i jak szalony, na czworakach, potykając się i ślizgając po okruchach lodu, pędził naprzód.

— Odwagi, towarzysze — rzekł, z trudnością hamując wybuch radości, która rozpierała mu piersi, — zmiażdżymy, rozsadzimy tę górę, odwagi! powtarzam. Wstańcie.

I siłą pociągnął za sobą Forda, który nań patrzył jak na waryata.

— Zmiażdżymy! — zaśmiał się apatycznie sternik.

— Tak, tak! rozsadzimy ją za pomocą zmarzniętej wody. Niewiele trzeba, aby rozniecić iskierkę nadziei w sercu człowieka; towarzysze inżyniera od razu pojęli, o co mu chodzi.

— Zbawiasz nas — rzekł kapitan. — A jednak to tak proste; dla czego od razu nie wpadliśmy na ten pomysł?

— Jutro powinniśmy być wolni — rzekł Gromski, uderzając pięścią w ścianę galeryi.

— Co robić? — zagadnął James, zrzucając kurtkę.

— Nalej w kubek wódki.

— Już — rzekł marynarz, wykonawszy rozkaz; — a teraz?

— Weź pręt i chodź ze mną.

Inżynier, w celu zaoszczędzenia małego zapasu spirytusu, postanowił wziąć się do dzieła inaczej, aniżeli za pierwszym razem; zamiast wytapiać w lodowcu otwory za pomocą rozpalonego pręta, chciał je prosto wiercić. Rozsadzenia kilkometrowej ściany nie można było dokonać prędko, należało ją kruszyć warstwami, sposobem używanym przy przebijaniu tunelów.

Gromski kazał więc sternikowi wyłabiać ostrym końcem pręta głębokie na sześć cali i pochyle ku wnętrzu lodnika otwory; na powierzchni czterech stóp kwadratowych miało być ich ośm.

Mozolnej tej pracy dzielny sternik dokonał po upływie pięciu godzin. Przez ten czas inżynier przygotował z pociętego kija kliny do zatykania wodnych naboju i stopił okruchy lodu w imbryku.

— To nasz dynamit — rzekł wskazując towarzyszom pełne naczynie.

Woda miała temperaturę przeszło 50 stopni. Gromski chciał bowiem za pomocą jej ciepła powiększyć objętość otworów. Kiedy James usunął się z galeryi, inżynier zabrał się do przygotowania naboju.

Oczyściwszy starannie wyłobienie, nalewał w nie pełno wody gorącej i zatykał mocno szpuntek bambusowym, owiniętym w płótno. Niebawem mina była gotową.

Nasi żeglarze usunawszy się w szersze miejsce galeryi, z biciem serca i niecierpliwością oczekiwali skutku. W dwie godziny potem, kiedy inżynier poczynał już powątpiewać o skuteczności swego pomysłu, po ścianach tunelu przeszło nagle wstrząśnienie; Ford oparty o łód głową, uczuł je najpierwszy.

Zaledwie przebrzmiał głuchy łoskot, inżynier znajdował się już w miejscu, gdzie była założona mina. Przewidywania jego sprawdziły się w najdrobniejszych szczegółach; powiercona warstwa lodu zamieniła się w bezkształtną masę odłamków rozmaitej wielkości; kilka szerokich rys, biegnących daleko w głąb lodowca, dowodziło potęgi działaniaminy.

Sternik, ujrzawszy to zniszczenie, zagrzmiał okrzykiem radości i skwapliwie począł usuwać okruchy.

— Dalibóg, tak długo żyję, a nie wiedziałem, że zwykajna woda może zastąpić proch — rzekł, kładąc rękę w największą szczelinę.

— No, wierzysz teraz, mój stary, że potrafię strzaskać tę górę? — zagadnął z tryumfującym uśmiechem inżynier.

— Nawet granitową, proszę pana?

— Nawet granitową, mój pocziwczę; trzeba ci wiedzieć, że mróz rozsadza najpotężniejsze kamienie, marznąca w szczelinach skał woda, odrywa w górach olbrzymie bloki. Mamy, jak widzisz do swego rozporządzenia straszną siłę.

Rezultat tego doświadczenia obudził energię naszych żeglarzy; warstwa zgruchotanego lodu miała stopę prawie grubości; dla przebicia metra potrzeba więc było mniej więcej trzy razy zakładać minę; rysy, powstające po każdym wybuchu, ułatwiały znakomicie pracę.

James, oczyściwszy odłamków galeryę, począł niezwłocznie wiercić drugą serię otworów; tym razem jednak ograniczono się do sześciu, ze względu na to, iż porysowana masa lodu nie przedstawiała już takiego oporu jak przedtem.

Obawiając się podwyższenia temperatury wewnątrz lodowca, inżynier naglił do pośpiechu; pracowano na zmianę, każdy bowiem chciał przyłożyć rękę do swego wyswobodzenia; przecięciowo wysadzano minę co 6 godzin, na dobę zatem posuwano się prawie o dwa metry.

(d. c. n.)

## NIEMIŁY ZAWÓD.

Czarny niedźwiedź, zjadłszy część upolowanego w nocy bawołu, włóczył się po lesie indyjskim, poszukując jak zwykle drzewa, dokoła którego brzęczą pszczoły; obecność tych skrzętnych owadów jest bowiem nieomylną wskazówką, iż gdzieś w pobliżu znajduje się smaczny miód, najpożądanejsza z łakoci dla każdego niedźwiedzia.

Rozglądając się uważnie, łakomec spostrzegł spory otwór w pniu grubego drzewa; pszczoł brzęczenia nigdzie nie słyszał, to prawda, otwór ten jednak wydał mu się bardzo pojętnym. Wleźć na wysokie drzewo, okręcone dokoła pnączami, to wcale nie łatwa sztuka i kosztuje wiele pracy... Niedźwiedź wahał się długo, nie chciało mu się, był bowiem zmęczony nocnym polowaniem; lecz żądza pokosztowania przysmaku przemogła wrodzone lenistwo.

Pszczoły śpią, bo upał wielki, ale miód jest na pewno; — myślał sobie; — trzeba spróbować.

Zbliżył się do drzewa, pochwycił potężnymi łapami za grubą lianę i puścił się w mozolną drogę pod górę, sapiąc i stękając.

Zdziwił się wszakże cokolwiek, nie dostrzegając żadnego ruchu, ani brzęczenia; zwykle pszczoły, ujrzawszy napastnika, czynią wielki hałas, podnoszą alarm i wyruszają przeciw najeźdźcy.

Cóż to znaczy?

Na sąsiedniej gałęzi niedźwiedź zauważył jakiegoś dużego ptaka o szerokim dziobie, siedzącego tuż naprzeciw owego tajemniczego otworu.

To tukan; poznał go — spodziewał się jednak, że trud jego zostanie nagrodzony, że w tem wielkiem drzewie musi być kilkanaście plastrów miodu, oblizal się więc łakomie.

Tukan jednak odgadł to widać, bo dziób roztworzył gdyż w dziupli siedziała jego samica i małe.

Tukan zamurowuje zwykle samicę, gdy ta wysiaduje małe. I teraz nagle wysunęła ona z otworu dziób, w który samicę miał jej wrzucić przyniesione pożywienie. Niedźwiedź zobaczywszy dziób odgadł, że próżno się trudził, wdrapując się na drzewo. Spojrzał na ptaka i jak niepyszny, zlął na dół, gdzie miał czas zastanawiać się, że na korzyść z pracy cudzej niebezpiecznie rachować.



## Tajemniczy Zamek.

Góry Karpackie okrążające od północy i wschodu węgierską ziemię, pełne są malowniczych widoków na wódzkiej przyrody. Po nad niebotyczne ich szczyty wiecznym śniegiem pokryte, wzbijają się orły szybujące w powietrzu, a wśród przepaścistych jarów stopą ludzką nietkniętych, bujają swobodnie kozice i niedźwiedź na sosnę się wdiera bezpiecznie, pewien że go żaden strzał nie spłoszy. Gdzieniegdzie na polanach leśnych, samotny pasterz przebywa ze swoją trzodą, wsłuchując się w gwizd świstaków rozlegający się dookoła. W okolicy takiej, wspaniale pięknej, ale dzikiej, rozgrywają się losy bohaterów, najnowszej powieści Juliusza Verne'a, słynnego francuskiego pisarza, którego utwory zajmują zarówno starszych jak i młodych czytelników. Płomaczą je też na wszystkie europejskie języki, a mamy ich wiele i w polskim przekładzie. Zanim więc powieść wydana obecnie przyswojoną nam zostanie z kolei, spieszymy w sprawozdaniu ciekawą treść jej podać.

U stoku Karpat węgierskich, w siedmiogrodzkiej ziemi, autor wprowadza nas do górskiej wioski Werstu, położonej na trakcie do Sibina (Hermanstadt'u) której mieszkańcy zajęci są żywo niezwykłym wypadkiem, siląc się nadaremnie odgadnąć jego przyczynę. Wśród skalnych wyżyn obrosłych jodłami, widny z daleka o mil parę dookoła, wznosił się w niewielkim oddaleniu od Werstu starożytny zamek, moźnych niegdyś panów na Gorcu dziedzictwo, oddawna niezamieszkały, gdyż jedyny ich potomek, Rudolf na Gorcu, puściwszy się na wędrówkę po obcych krajach, przepadł gdzieś bez wieści. Długi czas zamek dzierżyli starzy słudzy, lecz gdy ostatniego z nich pogrzebano na wiejskim cmentarzu, siedziba pokoleń rycerskich zmieniła się w przerażającą lud zabobonny, pustkę. Pasterze zablakani w tej stronie mijali ją ze strachem, zwłaszcza o zmierzchu i nie było takiego w całej okolicy, któryby się odważył zajrzeć tam w dzień biały. Mówiono że duchy dawnych panów zamku, odprawiały w nim pokutę i wieść ta z lat biegiem przemieniła się w pewność, jakkolwiek z drugiej strony dziwiono się, czemu zacna i szanowana powszechnie rodzina Gorców, miałaby stawać się postrachem okolicy, której przez długie lata była opatrnością?

Roztropne wszakże uwagi niektórych przechodziły mimo uszu tych, których wyobraźnia koniecznie widziała zamek zaludniony upiorami, strzygami i innymi nadprzyrodzonymi istotami.

W dniu, w którym autor rozpoczyna swe opowiadanie, Fryk stary pasterz uchodzący potroszę za czarownika, z polanki na której pilnował swej trzody, przyglądał się zdłala poszczerbionym murów tajemniczego zamku, rozmyślając nad tem, że trzy lata już tylko stać mają na miejscu. Stare bowiem podanie mówiło, że siedziba Gorców dopóty istnieje będzie, dopóki drzewo wyrastające tuż przy bramie frontowej, niby stróż zamku, nie straci wszystkich swoich gałęzi, a gałęzi tych trzy już tylko pozostało, bo czwarta właśnie odpadła wichrem skrecona.

— Trzy lata więc już tylko — myślał — trzy lata! A potem w cóż się obróca te wieże wspaniałe? Zarosły już wprawdzie prowadzące do nich ścieżki, ale oczyścić by je można, gdyby tu zawrzcę miało dawne życie.

Gdy tak dumiał nad tem, nadszedł żyd handlarz z Sibina, roznosiciel towarów, które zwykle chętnie nabywali wieśniacy. Odrzuciwszy wszystko inne które mu przedstawił, pasterz zaciekawił się bardzo dalekowidzem przyłożonym sobie do oczu. Nie chciał z początku wierzyć, aby przez to szkiełko mógł widzieć lepiej, lecz gdy się o tem przekonał, skierował je natychmiast w stronę zamku, chcąc widzieć, ażali go wzrok nie mylił i gałąź czwarta rzeczywiście odpadła? Tak było wistocie, widział to teraz jak na dłoni. Nagle nie odwracając oczu od widoku który miał przed sobą, wydał okrzyk podziwu. Patrzył jeszcze przez chwilę a potem zapytał o cenę dalekowidza i nabył go bez targu, chociaż pieniądze wydawać nie lubił.

Cóż go tak zaciekawiło? Oto dostrzegł przez szkło przybliżające, wysoką smugę dymu, wydobywającą się z niezamieszkałej budowli...

— A więc prawdą jest — pomyślał — że przebywa tu jakieś złe lichy... I pośpieszył zagnać coprędzej trzodę, aby do wsi powrócić, i uwiadomić wszystkich o tem co widział.

Spotkał najpierw sędziego gminnego Kolca którego trzodę pasał, dalej córkę jego piękną Miriotę i narzeczonego jej leśniczego Niko Decka.

Pokazał im zaraz dalekowidz, który podobnie jak on oglądali po raz pierwszy w życiu, i równie jak on wnet oniemieli z podziwu i grozy, bo dym wydobywał się z murów zamku niby z czeluści piekielnej...

Wieść dziwna a straszna, rozbiegła szybko się po wsi i ludzie zbiegli się, widzieć niezwykle ten objaw. Do grona ciekawych przyłączyli się Rumun Hermod, nauczyciel wiejski i Serb, doktor Patek, w Werście bowiem znaleźć można było różne sąsiednie narodowości, Serbowie, Rumuni, Słowacy i Bułgarzy, zamieszkiwali tam również jak Węgrzy.

Doktor Patak nie uczęszczał na wykłady żadnego uniwersytetu, zajmował się wszakże leczeniem i sprzedażą zaleconych przez siebie środków, a że górskie powietrze uzdrowia samo przez się, a nie dawał przytem nic szkodliwego, cieszył się przeto jak największem uznaniem mieszkańców okolicznych. Mając pretensję do pewnego wykształcenia, wyśmiewał się głośno z opowieści o dziwach zamku i namawiał mieszkańców, aby sprawdzili te wszystkie nadzwyczajności, lecz ma się rozumieć że nikt go służyć nie chciał, on sam zaś zanadto był zajęty, aby miał czas czynić jakiegokolwiek poszukiwania. Co do rumuńskiego nauczyciela, ten nie znając ani historii, ani geografii, ani nic zgoda z tego czego uczyć był powinien, zwykle po ukończeniu lekcji czytania i pisania, wykladał uczniom swym wszystkie baśnie serbskie, bułgarskie, rumuńskie i słowackie, jakich umiał na pamięć mnóstwo. Bajki te podniecały ich wyobraźnię i czyniły ich skłonny do przyjmowania za prawdę, najdziwaczniejszych wymysłów wyobraźni drugich.

Zbiegowisko powiększało się z każdą chwilą — mówi autor — i coraz większy tłum otaczał Fryka: kobiety, dzieci, cyganie za wsią koczujący, wszyscy zadawali mu pytania, wszyscy wiedzieć pragnęli najdrobniejsze szczegóły niespodziewanego zjawiska. Sędzia Kolec zabrawszy dalekowidz, wrócił do siebie wraz z córką, za którą poszedł narzeczoną, a Fryk pozostawszy na tarasie wśród tłumu ciekawych, odpowiadał na pytania z dummem zadowoleniem człowieka, który w samej rzeczy zobaczył coś nadzwyczajnego.

— Tak! tak! — powtarzał — dymiło się z komina i jeszcze się dymi i dymić będzie dopóty, dopóki kamień na kamieniu zostanie.

— Ale kto mógł rozpalić ogień? — spytała, składając ręce stara jakaś babina.

— Czort — krótko odpowiedział Fryk — oho! umie on rozpałać ogień! Lepiej rozpała niż gasi!

Co posłyszawszy zaczęli wszyscy pilnie patrzeć we wskazanym kierunku, upatrząc dymu. Skończyło się na tem, że ten i ów jął twierdzić, iż widzi go doskonale, chociaż z tej odległości niepodobieństwem było nic dojrzeć.

Niepodobna opisać jakie wrażenie sprawiła wieść, o dziwnem a tak niespodziewanem zjawisku. Niech czytelnik postawi się w tem usposobieniu umysłu, w jakim znajdowali się mieszkańcy Werstu a przestanie dziwić się faktom, które mu poniżej opowiem. Ludzie oświeceni nie wierzą w strachy, wróżby i tego rodzaju nadprzyrodzone zjawiska, lecz ludność miejscowa, pogrążona w najzupełniejszej ciemności, wierzyła w nie niezachwianie; obawa zatem, jaką wzbudzał opustoszały zamek wtedy, gdy nikt w nim nie mieszkał, wzmódz się musiała teraz, gdy zamek był zamieszkałym i to zamieszkałym przez czarta!

Wioska posiadała gospodę, miejsce zebrania chętnie uczęszczane przez tych nawet, którzy nie pijając się, ani nawet nie pijąc wcale, lubią jednak po skończonym dniu pracy



pogawędzić trochę z sąsiadami. Niewielu takich było, ale byli, i co wieczór prawie zaglądali do gospody, której gospodarzem był żyd, imieniem Jonasz, sześćdziesięcioletni już blisko, z miłym wyrazem twarzy, o czarnych oczach i garbatym nosie, właściwym semickiemu plemieniu. Usłużny i uczynny, chętnie pożyczal temu i owemu, nie stawiając zbyt twardego wymagań ani pod względem pewności dla pożyczonej sumy, ani procentu od niej.

Gospoda „Pod królem Matyaszem” stała na rogu głównej ulicy, która całą wieś przecinając, prowadziła do domu sędziego. Na pół z drzewa, na pół z kamienia wzniesiona, stare już pamiętała czasy i ślady starości na sobie nosiła, lecz opleciona zielenią pnących się krzewów, wyglądała jeszcze wcale pokaźnie. Przez wielkie drzwi oszklone, prowadzące na taras, wchodziło się do wielkiej izby, zastawionej stolikami i stołkami; pod główną ścianą stały półki ze spróchniałego już dębu, na których lśniły czysto utrzymane butelki, półmiski, kubki, głębi izby zajmowała sporych rozmiarów, czarno bejcowana lada, po za którą stał Jonasz, zawsze na usługi gości gotów. Rozległą, narożną tę izbę oświecały cztery okna, z których dwa wychodziły na taras, dwa zaś drugie w przeciwległej ścianie umieszczone, ukazywały patrzącym przez nie piękny i malowniczy krajobraz górski. Rozległą, bystreńmi potokami przerzniętą dolinę otaczały w około zębate, iglicami sterczące gór wierzchołki; tu i owdzie wartka, spieniona, z szumem spływała po nich woda potoków, kędyś wysoko swe źródło biorących, a gór stoki zielenią lasów obrosłe stanowiły tło ruchome, nad którym górował stary zamek imponującą masą swych murów.

Na prawo od wielkiej izby gościnnej znajdowało się ze sześć małych izdebek, służących za czasowy przytułek rzadkim podróźnym, którym tędy wypadała droga. Nie często zdarzający się gość, zawsze zadowolony wyjeżdżał, znajdował tu bowiem usłużnego gospodarza, grzeczne przyjęcie, a obok cen umiarkowanych, wcale niezłe pożywienie i wyborny tytoń, o który zawsze umiał się Jonasz postarać.

W tej to gospodzie, pamiętnego dnia 29 maja, zebrali się znaczniejsi dostojnicy Werstu: sędzia Kolec, nauczyciel Hermod, leśniczy Niko-Deck, ze dwunastu jeszcze zamożniejszych gospodarzy i pasterz Fryk, któremu dzisiaj przybyło powagi i znaczenia. Brakowało tylko doktora Pataka; pospieszył on do jednego z swoich pacjentów, zobowiązał się przybyć natychmiast, jak tylko starania jego przestaną być potrzebne.

Oczekując na doktora, rozmawiano o ważnym dzisiejszym wydarzeniu, przyczem nie obeszło się bez jedzenia i picia. Jednym podawał Jonasz ulubiony przysmak miejscowy: lemieszkę z kukurydzianej mąki, znaną pod nazwą mamalygi, potrawę wcale niezłą, gdy się ją je ze świeżem, ciepłym jeszcze mlekiem; drugim nalewał mocne napoje, które Rumuni piją jak wodę, mianowicie zaś śliwowiec, na całym podgórzu karpackiem uważaną za najlepszy z trunków. Tutaj nadmienić trzeba, że według zwyczaju przyjętego w gospodzie Jonasz usługiwał tylko „na stolikach;“ zauważył bowiem, że goście siedzący spożywają daleko więcej niż ci, którzy coś stojąc przetrzącają. Dzisiejszy dochód zapowiadał się obiecująco: wszystkie stolki były zajęte, przy każdym stoliku sie-

działo po kilku rozmawiających, to też biegał Jonasz od stolika do stolika, napełniając co chwila wypróżniane szklanki, kieliszki i kubki.

Pół do dziewiątej już było, a jeszcze trwała gawęda i jeszcze nie postanowiono co uczynić należy, choć radzono nad tem od zmroku. Na jedno tylko jednomyślnie godzili się pocziwcy: że zamek karpacki zamieszkały przez jakichś nieznanomych, staje się dla nich równie niebezpiecznym, jak dla miasta prochownia w obrębie jego murów położona.

— To bardzo ważny wypadek! — odezwał się nakoniec sędzia Kolec

— Bardzo ważny! — powtórzył nauczyciel, puszczając kłęb dymu z nieodłącznej towarzyszkii, fajki na długim cybuchu osadzonej.

— Bardzo ważny! — chórem potwierdzili zgromadzeni.

— I tak już — podjął Jonasz — niedobra sława jakiej używał zamek, nie mało szkodziła okolicy.

— A teraz będzie jeszcze gorzej! — wykrzyknął z przejęciem nauczyciel.

— I tak już mało tu kto przyjeżdża! — z westchnieniem dorzucił sędzia Kolec.

— A teraz nikt już ani zajrzy! — dodał Jonasz, wtórując sędziemu głębokiem, ciężkiem westchnieniem.

— Niejeden już zamyśla o wyniesieniu się stąd! — zauważył jeden z pijących.

(d. c. n.)

## SZARADA.

przez Ewę Maryę.

*Pierwsze* czyni ten, który chleb swój spożywa;  
*Drugie* rzeka, co łączy się z głębią Renu;  
*Wszystko* razem, jest to Arabia szczęśliwa;  
Jakąż nazwę ma inną, znaną? . . . u.

## ROZWIĄZANIA DO NRU 20-go.

*Szarady:* Ha — mil — kar.

*Rebusu:* Na ziemi nic się nie dzieje bez przyczyny i skutku.

## Ogłoszenie.

Najnowszy cennik Ernesta Heyne'go, Lipsk, Hospitalstrase Nr. 2, wysyła się na żądanie bezpłatnie, zawiera zaś:

Zestawienie najwięcej spotykanych motyli i chrząszczy (nazwy niemieckie i łacińskie), jednośnych książek, oraz wszystkich potrzebnych przyborów.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

**TREŚĆ:** Gwiazda wieczorna, skreślił Stanisław Kramsztyk. — Mały kiólewicz, powieść z dziejów węgierskich p. Teresę Jadwigę. — Rybaczki, wiersz p. T. P. (z drzew.) — Balonem do bieguna, p. Wł. Umińskiego. — Niemily zawód (z drzew.) — Tajemniczy zamek. — Łamigłównki i rowiązania. Dodatek: Jaka ja duża, wiersz p. T. P. (z drzew.) — Rozbity wazon, komedyjka w jednej odsłonie. — Lekkomysłny Franuś, p. Henryka Wernica. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród puszczy meksykańskich.



# WIECZORY RODZINNE.



## JAKA JA DUŻA!

Jaka ja duża, mamusiu złota,  
Jaka ja duża!  
Tak szybko w górę wzrostem się niosę,  
Jak ona róża,  
Co młode pędy pod naszym oknem  
Puszcza na wiosnę;  
Jako topolka liściem szumiąca  
Tak ja wyrosnę!

Co na to powiesz, mamusiu złota,  
Co powiesz na to,  
Jeżeli wzrostem ciebie dopędzę  
Nim przyjdzie lato?  
I będziesz miała pannę dorosłą  
Zamiast swej Mani,  
Co chodzić będzie w sukni z ogonem  
Jak jaka pani?

Lecz czy do wzrostu starczy mi w miarę  
Rozumku w głowie?  
I czy godności dorosłej panny  
Serce odpowie?  
Ach!... nie wiem, mammo... Więc może z wzrostem  
Poczekać lepiej,  
Aż rozum wzrośnie, aż mi się serce  
W dobrem ukrzepi?

T. P.

## ROZBITY WAZON.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE.

(Dla Konwalii z nad Niemna).

### OSOBY.

HALINKA, lat 12	}	Rodzeństwo.
IRENKA „ 11		
STAŚ „ 12		
KAZIO „ 10		

ZOŚKA, wiejska dziewczyna pokojowka.

(Scena przedstawia pokój niewielki, na ziemi leży szkło potłuczone, na środku sceny stoją: Staś i Kazio, bardzo zakłopotani).

### SCENA I.

STAŚ. Powiedz teraz, co tu robić z tym rozbitym wazonem? Ty jesteś winien wszystkiemu...

KAZIO. Jak śmiesz mówić coś podobnego? Przecież to ty go zrzuciłeś, ja nie myślę brać winy na siebie.

STAŚ. Wcale się nie zapieram tego, że zrzuciłem wazon, ale to przez ciebie, boś ty mię chciał zepchnąć z komody.

KAZIO. A pociś tam wchodził?

STAŚ. Zabawny jesteś, jakże nie miałem wejść? Szukam mego kapelusza, a tyś mi go zawiesił wysoko na gwoździu, musiałem go przecież zdjąć, bo mi był potrzebny. Widzisz sam, że nie ja jestem winien, tylko ty, niepotrzebnie się więc wypierasz.

KAZIO. Wstydz się spędzać na mnie, tchórz jesteś, boisz się kary...

STAŚ. Ja tchórz? Toś i ty tchórz, bośmy razem za winili.

KAZIO. E! wiesz co Stasiu, lepiej pomyślmy naprawdę, co zrobić z tym rozbitym wazonem, żeby się nie wydało, żeśmy go stłukli. Ja się już nie będę spierał, kto zawinił, bo może być, że razem zrobiliśmy szkodę.

STAŚ (namyśla się). Jakbyśmy się przyznali do winy, to pewno za karę nie pozwoliliby nam jechać na majówkę. A szkoda byłoby majówki!

KAZIO. To też poco mamy się przyznawać? Powiedzmy, że nie wiemy, kto stłukł wazon i kwita!

STAŚ. Ależ to kłamstwo, wstyd, a potem wszystko się wyda, będą się dopytywali, no i nie będzie winnego, a przecież wazon sam stłuc się nie może?



KAZIO. To pomyślą że stłukł go kto inny.

STAŚ. Ale kto? Na Halinkę złożyć tego nie można, bo ona zawsze taka uważna i wreszcie ona nie wyparłaby się nigdy, gdyby co złego zrobiła. Na Irenkę chyba, bo ona żywa, roztrzępana...

KAZIO. Na Irenkę nie trzeba, bo nie pojechałaby na majówkę i brakowałoby nam jej do zabawy...

STAŚ. Najlepiej byłoby na Zośkę, choć to źle bardzo... (*wbiega Irenka*).

## SCENA II.

IRENKA (*zatrzymuje się zdziwiona*). A to co? Kto to stłukł?

KAZIO. My także myślimy sobie, kto mógł taką szkodę zrobić i zdaje nam się, że to Zośka, bo ona przed chwilą wychodziła z tego pokoju.

IRENKA. Zośka? Wierzyć temu bardzo mi się nie chce; idąc tutaj, spotkałam ją taką wesołą, wyśpiewywała sobie.

STAŚ. Pójdę ją tu przyprowadzić. (*wychodzi*).

IRENKA. Kaziu! czy jesteś pewny, że to Zośka zrobiła, bo wiesz, że grzechem jest niesłusznie kogoś posądzać.

KAZIO. Zdaje mi się że Zośka. Gdyśmy tu przyszli, nikogo więcej w pokoju nie było.

IRENKA. Biedna Zośka! Będzie się na nią mama gniewała, bo ten wazon był pamiątkowy. Wiesz Kaziu, ja jeszcze nie dowierzam, że to ona zrobiła tę szkodę.

KAZIO. Więc kto? Może myślisz, że ja?

IRENKA. Jakżebym mogła przypuszczać coś podobnego, przecież nie mógłbyś wtenczas obwiniać Zośki. Jednak mógł wazon sam zlecieć.

KAZIO. To byłoby trudno...

IRENKA. Nie jest to znów nic niepodobnego żeby sam spadł, na brzegu postawiony. (*wchodzi Staś i Zośka*).

## SCENA III.

STAŚ. Więc mówisz, że to nie ty stłukłaś? Przecież nikogo więcej tutaj nie było.

ZOŚKA (*z płaczem*). Byłam tutaj, ale wazonu nie stłukłam, niech mi panicz wierzy!

STAŚ. Mówisz tak śmiało dla tego, że się boisz mamy.

ZOŚKA. A no tak, boję się, bo pani zawsze mi tak zastrzegala, żebym ostrożnie obchodziła się z tym wazonem, ale Bóg świadkiem, żem ja go nie stłukła.

IRENKA. Jakim sposobem zrobiłaś taką szkodę Zośko?

ZOŚKA. Doprawdy panienko, ja tego nie zrobiłam. Panicze mię posadzają, bo jak szli tu do pokoju, właśnie wychodziłam, ale wazon wtenczas był calusieńki.

STAŚ. Nie był cały, bo zaraz spostrzegliśmy szkło na ziemi.

ZOŚKA. Mój Boże! mój Boże! żebym też mogła się uniewinnić.

KAZIO (*na stronie*). Ach, sumienie mię gryzie! (*głośno*). Pozbieraj szkło, bo się jeszcze kto skaleczy. Chodź Stasiu, przejdziemy się trochę po ogrodzie. (*wychodzą*).

## SCENA IV.

ZOŚKA (*placze zlierając szkło*). Co ja pocznę nieszczęśliwa, nikt mi wierzyć nie chce. Pani będzie się gniewała, a może mię ze służby wydali...

IRENKA. Nie płacz Zośko, przecież ten wazon nie był znów taki kosztowny.

ZOŚKA. Ale, proszę panienki, pani zawsze mówiła, że wolałaby, żeby wszystkie inne rzeczy przepadły, jak ten wazon (*placze*). Ach! Boże, Boże! gdybym ja miała służbę stracić, cobym poczęła biedna sierota!

IRENKA. E! nie masz znów czego rozpaczać, jakbyś nie miała służyć, to poszłabyś do ciotki...

ZOŚKA. Ach! panienko, niechże Bóg zachował Ciotka mię przecież wyгнаła, bo sama dosyć ma dzieci do żywienia, i żeby nie panienki mama, co mię wzięła na służbę, to pewnie zmarłabym gdzie z głodu.

IRENKA. Biednaś ty Zośko! Jakże mi cię żal serdecznie.

ZOŚKA. Jeszcze panienko, jam tu wcale niewinna, ja tego nie rozbiłam i nie mogę niczem się usprawiedliwić! Ach! Boże! Boże!...

IRENKA. Zośko nie płacz! nie martw się, nikt się nie będzie gniewał na ciebie, to ja jestem winną temu wszystkiemu!

ZOŚKA. Co? panienka stłukła wazon, doprawdy? Panienka nie żartuje wcale?

IRENKA. Ależ prawdę mówię, bądź spokojną Zośko, nie kłopotz się!

ZOŚKA. Ach Boże! dzięki Ci!, żeś mię wybawił z tego strapienia! O, panienko moja najdroższa, dziękuję ci serdecznie, żeś się przyznała do winy, choć nikt tego nie widział!

IRENKA. Nie, Zośko, nigdybym nie zataiła tego, bo nie pozwoliłabym, żebyś za mnie miała być pokrzywdzoną.

ZOŚKA. Ach! aż mi lżej na sercu!

IRENKA. Idź już Zośko, bo może cię tam potrzebuja. (*Zośka wychodzi*).

## SCENA V.

(*Irenka sama*).

IRENKA. Pierwszy raz w życiu skłamałam, ale nie mogłam inaczej postąpić, tak mi jej żal było! Przecież lepiej, żeby mama się na mnie gniewała, jak na nią... Ale doprawdy teraz nie wiem, kto mógł stłuc ten wazon, myślałam już, że rzeczywiście Zośka, lecz ona zaraz uwierzyła, gdy jej powiedziałam, że to ja zrobiłam tę szkodę (*namyśla się*). Niech tam będzie winien kto chce, ja wszystko przyjmę na siebie. Pewno będę ukarana, jednakże z przyjemnością przeniosę karę, bo miło cierpieć ażeby ocalić drugich... (*wchodzi Halinka*).

HALINKA. Irenko, czy być może! Podobno wazon rozbity?

IRENKA. Tak Halinko, ja go stłukłam.

HALINKA. Jakto ty, ty? Nie może być, Staś mi opowiadał że to Zośka.

IRENKA. Bo Staś nie wiedział, ale czy mama już wie o tem?

HALINKA. Tak, i myśli że to Zośka.



## LEKKOMYŚLNY FRANUS.

przez

Henryka Wernica.

(Dalszy ciąg).

— A ja nie — rzekł Franus, przypomniawszy sobie, że zeszłego roku gdy wszedł do małej łódki stojącej przy brzegu, utracił równowagę i wpadł do wody. Na szczęście Wisła w tem miejscu była płytka i skończyło się na niepożądaney kąpieli.

— Jakiś ty niezgrabny — rzekł Tomuś. — Powiadam ci, że gdyby mi pozwolono płynąć łódką, to siedziałbym tak nieruchomie jak ten oryl i płynął daleko, daleko, aż do morza.

Tak rozmawiając, chłopcy zbliżali się do łachy wiślanej. Stało nad nią kilku miłośników połowu ryb; jednym z nich był podeszłego wieku mężczyzna, przy którym leżał duży pies. Kiedy chłopcy koło niego przechodzili, pies gniewliwie warknął, wyszczerzając zęby.

— Leżyć Neptun — rzekł pan jego, nie oglądając się na przechodzących, gdy w tej chwili jego wędka zanurzać się poczęła.

Minąwszy staruszka, chłopcy zatrzymali się w pewnej odległości. Tomuś umocował sznurek na kij, osadził na haczyku robaka i zarzucił wędkę z powagą do świadczonogo rybaka, wyjaśniając Franusiowi wiele szczegółów:

— Przedewszystkiem trzeba mieć cierpliwość — mówił on — nie wyciągać wędki co chwila, lecz dopiero wtedy, kiedy pływak istotnie zanurzać się pocznie. Bo trzeba ci wiedzieć — mówił dalej — iż nieraz ryba przepłynie koło sznurka powyżej przynęty i wtedy zdaje się jakoby pływak się zanurzał, wyciągasz wędkę i nic nie znajdujesz.

Tak prawił Tomuś, ale nie stosował się do tego co mówił. Myślał, że skoro tylko wędkę zarzuci to i rybę złapie, a już po chwili chociaż widział, że pławik jego ani drgnął na wodzie, wyciągał wędę i ponownie ją zarzucał. Minął kwadrans. Tomuś jeszcze nic nie złapał. Upokarzało go to wobec Franusia, któremu chciał okazać swą wyższość. Spojrzał na staruszka w chwili, gdy ten wyciągał sporego szczupaka. — Jaka szkoda, — pomyślał sobie — że ten szczupak nie chwycił mojej przynęty.

— Złe obraliśmy miejsce — rzekł do Franusia — nic tu nie złapiemy, zanim ryby tu dopłyną, ten pan je wyłapie. Źbierzmy inne stanowisko, stańmy przed nim, to pewno pomyslniejszy będziemy mieli połów.

Gdy chłopcy zatrzymali się z drugiej strony nieznanego pana, ten grzecznie ich poprosił, aby się odalili, bo i sami nic nie złapią i jemu przeszkadzać będą.

Aczkolwiek Tomuś zazwyczaj dosyć był zuchwały i jak to mówią, hardo się stawiał, tym razem dziwnie powolnym się okazał i w milczeniu poszedł dalej, z zazdrością spoglądając na staruszka, który nigdy napróżno nie wyciągał wędki. Podeszły wiekiem mężczyzna skończywszy połów, zamyślał powracać do domu. Wydobył z kieszeni ceratowy woreczek i pochylił się nad

IRENKA. A więc biegnę powiedzieć prawdę. (*wybiega*).

HALINKA. Irenko! Irenko! Już jej niema, roztrzępaniec, ale serce złote. (*wchodzi Staś i Kazio*).

STAŚ. Bardzo się mama na Zośkę gniewa?

HALINKA. Na Zośkę? nie, to Irenka stłukła...

KAZIO. Irenka?... Któż ci to powiedział?

HALINKA. Ona sama, a teraz poszła powiedzieć mamie (*Staś spogląda zmieszany na Kazia*).

STAŚ. Sama się przyznała do tego?

KAZIO (*na stronie*). Ach cóż to za wstyd dla nas, ona się poświęca dla biednej dziewczyny, którą my niesprawiedliwie obwiniamy. (*wchodzi Irenka*).

IRENKA. Przepadła majówka, za karę w domu zostać muszę.

HALINKA. Czy bardzo ci przykro Irenko?

IRENKA. E! nie, zasłużyłam na to...

HALINKA. Poczciwą jesteś dziewczynką, Irenko, żeś się zaraz do winy przyznała. Jesteś prawdziwie odważną!

STAŚ. O pewno że poczciwa. (*półgłosem*). Kaziu! może lepiej się przyznać?

KAZIO. Ach tak, ale strach jeszcze większy kary. Może jednak lepiej powiedzieć prawdę? (*wchodzi Zośka, niosąc sukienkę*).

## SCENA VI.

ZOŚKA. Pani powiedziała, żeby się panienki ubierały, bo niedługo pojedą na majówkę.

IRENKA. Na cóż przyniosłaś moją sukienkę, ja zostaję w domu.

ZOŚKA. Kiedy pani wyraźnie powiedziała, że panienki obiedwie pojedą, tylko panicze zostaną...

STAŚ. Jakto, co ty mówisz, my mamy zostać?

KAZIO. My?

IRENKA. Idź Zośko, zapytaj się mamy raz jeszcze.

HALINKA. Nie trzeba się pytać, ja wam wszystko wyjaśnię. Otóż chodząc po ogrodzie, usłyszałam brzęk w pokoju, podbiegłam do okna i zobaczyłam Stasia i Kazia, stojących nad stłuczonym wazonem, mama właśnie wtenczas nadeszła, wysłuchała całej ich rozmowy, i wie że Irenka przyjęła winę na siebie, żeby ochronić Zośkę, która niesłusznie była posądzoną za sprawkę Kazia i Stasia.

ZOŚKA. Moja kochana panienka! Za mnie chciała cierpieć. O! Bóg jej to wynagrodzi!

HALINKA. Wstyd, wstyd dla was chłopcy, i mnie wstyd, że mam takich braci, ale za to szczycę się moją młodszą siostrzyczką. Tak więc, moi panowie, za karę macie zostać w domu i napisać wypracowania, których tytuł będzie: *Prawda zawsze się wykryje*. I wiedzcie o tem, że tak surowa kara spotkała was nie za to, że stłukliście wazon, ale za to, że chcieliście złe popełnione ukryć i winę złożyć na kogo innego. (*Kazio i Staś zakrywają twarz rękami*).

(*zasłona spada*).

*Niezapominajka.*



naczyniem wybierając ryby. Wtem wpadł w szaficzek dosyć spory kamień. Twarz i odzież nieznanomego opryskała woda. W tejsze chwili dał się słyszeć przeraźliwy krzyk, starszek się odwrócił i ujrzał leżącego na ziemi Franusia, którego zawzięcie targał Neptun.

— Neptuś, do nogi — głośno zawołał. Pies puścił ofiarę, przybiegł do pana, a Franuś chromając trochę, pośpiesznie podążył do Tomusia.

— Jak ty wyglądasz! — zawołał Tomuś, zanosząc się od śmiechu — spojrzij na twe odzienie. — Istotnie odzienie było całe podarte.

Rzecz się tak miała. Tomuś, nie chcąc dłużej narażać się na śmieszność, szukał tylko pozorów, aby zakończyć niefortunną wyprawę na ryby. Czy przypadkiem, czy naumyślnie szarpnął tak silnie wędką, iż haczyk zaczepiwszy się o podwodne korzenie drzewa, utkwiał w nich i sznurek się zerwał. Miał wprawdzie Tomuś w zapasie jeszcze jeden haczyk i sznurek, ale o tem nie powiedział Franusiowi. Kontent był w duszy z tego, co się stało, bo mógł, jak sądził, z honorem wyjść z tej sprawy. Przypomniał sobie, że miał w kieszeni procę gumową.

(d. c. n.)

#### SZARADA.

przez Ewę Maryję.

Drzewo z rodziny szyszkowatych licznej,  
Lub stopień, grając, dobrze go znamy,  
Dyatoniczno - chromatycznej  
Gamy.

#### ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożyła Różana gałązka.

Z następujących sylab: Ba—brest—dam—da—dy—dor—el—gör—inn—jar—le—lec—litz—kand—ka—o—or—pat—po—ry—ro—ryusz—set—ta—za—an—yi—ułożyć wyrazy, których znaczenie: 1. Miasto z uniwersytetem w gub. Inflanckiej. 2. Narzędzie do pisania u starożytnych. 3. Miasto na Szląsku. 4. Niemiecka nazwa miasta na Szląsku. 5. Dopływ Dunaju. 6. Rzeka w Niemczech. 7. Miasto w chińskim Turkestanie. 8. Jeden z najsilniejszych fortów wojennych w Europie. 9. Nazwa jednej z odnóg Nilu. 10. Miasto w Hollandyi. 11. Dwie samogłoski. 12. Imię króla pokonanego pod Gangamelą. 13. Grupa wysp połud. Ameryki. Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół, i końcowe w tymże kierunku utworzą pseudonym osoby, dla której łamigłówkę ułożono.

#### ROZWIĄZANIA DO N-ru 20-go.

Szarady: Ty — toń.

ŁamigłóWKi arytmetycznej: 2 7 6  
9 5 1  
4 3 8

## Skrzynka do listów.

Maryni Świd. posłałiśmy żądany numer.

Urania przysłała nam bardzo dobre rozwiązanie, serdecznie dziękujemy nowej korespondentce.

Dwóm Czesławom taka sama należy się pochwała; wielką nam to sprawia przyjemność, gdy widzimy działwę naszą szczerze zajętą tem, co jej w pisemku naszym podajemy.

Jadzi i Mani Szc. dziękujemy za pamięć o koloniach letnich, również jak Marysi i Anusi Sok.: W pocziwych, gorących serduszkach nadzieja, że ze śmiercią d-ra Fritschego nie upadnie dobroczynny pomysł, który zmarły tak skutecznie wprowadzał w wykonanie. Jakkolwiek niema jeszcze potrzebnych na ten cel funduszków, zbiorą się jednak zapewne, skoro są tak pocziwe istotki jak owa dziewczynka, która obrabianiem chusteczek i wykonywaniem innych robót domowych zapracowała sunkę na kolonie przyslaną. Taką córeczką słusznie może pochłubić się mama, której ślemy wyrazy poważania i wdzięczności za uznanie z jakim do nas się zwraca.

Szan. pani S., nie naszą jest zasługą, że córeczka pani poczuwa się do obowiązku względem drugich, że obowiązek ten spełnia kosztem wyrzeczenia się własnej przyjemności. Nie pismo nasze to sprawia, nie zawarte w niem nauki, upomnienia, lub nawet najgorętsze odwoływania się do serc młodych czytelników — sprawia to duch, w jakim czytane są słowa nasze — zdrowa i czysta atmosfera domu, co już wyłącznie rodziców jest zasługą.

Ponieważ Józio koresponduje tylko z kolegami, przeto redakcja odpowiada Dumce H., że pochwały udzielają się nie na oddzielnym piśmie lecz tylko drukują w Wieczorach, a także, że datki na kolonie letnie przyjmują się i obecnie i w każdym czasie, gdyż dzieci kolejno przez całe lato wyprawiać się będą na wieś, o ile starczy na to funduszków; za datek w imieniu biednych przesyłamy Dumce Bóg zapłać.

P. Urbanowska (bo do niej to zapewne, jakkolwiek pod inną nazwą, przesyła powinszowanie na ś-tą Zofię Niezabudka z nad Chomoru) odebrawszy liścik, który jej doręczyliśmy, serdecznie za pamięć dziękuje.

Niezapominajko z nad Warty, wiem że dawną jesteś korespondentką i pochlebia mi to niezmiernie, że się do mnie zwracasz z zadaniami. Nuty kosztują z przesyłką kop. 40; reszta pozostaje do rozporządzenia. Nie chciałam brać, bo papier taki poźółtkły, ale to dla tego, że dawno wydane. *Przeczytaj uważnie odpowiedzi, a dowiesz się tego o co pytasz.* Józio już się wreszcie doczekał korespondentów, Gołąbka i ja mamy korespondentki, wszystko ułożyło się więc jak trzeba i wszyscy jesteśmy zadowoleni. Jak Gołąbkę tak i mnie, idącą za jej przykładem, nie nudzą niczyje liściki, proszę cię więc, Ciszko wieczorna, nie czyń nawet takich przypuszczeń. Razem z tobą cieszę się z wiosny: od tego przecie jestem Jaskółką. Figlarki zaś są od tego, aby sobie żartować z tych, co nie mają przymiotu cierpliwości. Cierpliwość odniosła jednak pożądaną skutek, jak to widzisz z odpowiedzi mojej do Niez. z nad W. Jakie wy wszystkie dobre jesteście dla mnie, choć się znamy od tak niedawna! Murzynko z nad Prosnym, napisałaś do mnie taki miły, taki serdeczny liścik, taką mi śliczną przysłałaś zagadkę, że za to wszystko również jak i za zasiłek na kolonie letnie musiałabym uściskać cię gorąco, choćbym była nawet najgorszą z jaskółek. I tobie dziękuję, Marzycielko, a przytem wywdzięczam ci się doniesieniem żądanej wiadomości. Przykra to rzecz mieć do czynienia z roztrzępanemi; wypracowania twego nie było wcale na konkursie. Bardzo mi cię żal, bo to niemiło pracować na darmo, innym razem adresuj wprost do redakcyi, a tymczasem i ty, i wszystkie bywajcie mi zdrowe i pamiętajcie, że zawsze z wami świegotać rada.

Jaskółka.